# GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MARCA 1938 R.

Nr. 6 ROK VIII





CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

# GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 6
1938 R.
15 — III

KOMITET REDAKCYJNY:
CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI, JACEK RUDZIŃSKI redaktor

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

## URZĘDASY

*„Człowiek zwykł sądzić, kiedy słów jedynie słucha, że przy tem by się także pomyśleć coś dało".* (Goethe „Faust")

„Gospodarka Narodowa" nigdy nie miała nic wspólnego z zawodowymi interesami urzędników. Autor niniejszego artykułu programowo nigdy nie należał do żadnych urzędniczych związków, gdyż nigdy nie umiał rozdzielić swej osobowości na dwie części: jedną reprezentującą interes państwa, a drugą interes zawodowy. Co więcej — wyraźnie się obawiał takiego rozdwojenia swojej osobowości. Okoliczności te uważam za sprzyjające do wystąpienia w obronie urzędników. Natchnieniem dla tych uwag był następujący zwrot w artykule p. Grabca w czasopiśmie „Polityka" z 1938 r. dział „Zygzakiem przez prasę":

„Urzędasy i podurzędasy nucą dziś ludowość na potęgę, niczem piękne damy rokoko. A że nasza epoka nie jest epoką fantazji, tylko trzeźwego realizmu, przeto swą ludowość uprawiają nie dla samych pięknych oczu".

Urąganie na biurokrację jest bardzo rozpowszechnione. Jest to temat równie wdzięczny do urągania i opowiadania konceptów jak np. teściowa; tak samo stary, i tak samo wciąż aktualny. W stosunku do konceptów przywykliśmy stawiać trzy wymagania: żeby były dowcipne, żeby nie miały zbyt długiej brody i żeby nie obrażały obecnych. Zupełnie analogiczne wymagania należy stawiać i w każdej dyskusji na serio: w każdym cywilizowanym społeczeństwie argumenty powinny reprezentować pewien poziom umysłowy, dotyczyć aktualnej rzeczywistości, gdy chodzi o temat aktualny i nie operować wyrazami obraźliwymi.

Biurokracja polska jest już od dłuższego czasu pod obstrzałem. Z wielu względów należy się to jej, gdyż oczywiście nie jest bez winy. Ci jednak, którzy te winy wytykają, grzeszą często brakiem obiektywizmu, jednostronnością i pomieszaniem pojęć.

Przede wszystkiem należy odróżnić biurokratyzm od biurokracji. Pierwsze oznacza pewną metodę pracy i pewien stosunek człowieka do człowieka oraz do rzeczy i spraw. Drugie oznacza warstwę społeczną, trudniącą się zawodowo służbą publiczną. Pierwsze może być przejściowe. Bez drugiego nie można sobie wyobrazić współczesnego państwa. Biurokratyzm był zjawiskiem typowym dla czasów przedwojennych. Wynikał on stąd, że wszelkie normy, będące podstawą działania biurokracji, były sztywne i bardzo długowieczne. Urzędnik obracał się dziesiątkami lat w świecie niezmiennych formułek i przepisów i nic dziwnego, że umysł jego kostniał w tym świecie, tracił elastyczność i tracił związek z wiecznie płynnym i zmiennym życiem.

Po wojnie sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Dziś konstytucje są często mniej długowieczne, jak przed wojną umowy o długoterminowy kredyt. Normy prawne i przepisy, regulujące bieg życia społeczno - gospodarczego, są niesłychanie płynne. Dziś niebezpieczeństwem dla urzędnika jest często nie rutynizowanie się i mechaniczne stosowanie stałych formułek, ale niezdolność do szybkiego uczenia się i stosowania nowych przepisów i norm.

W dziedzinie gospodarczej prywatne elementy ży-

cia gospodarczego uległy znacznemu usztywnieniu, a elementy publiczne uelastyczniły się. Dzisiaj na zmienne flukta koniunktury gospodarczej aparat publiczny musi reagować manipulowaniem stawek celnych, zmianą traktatów handlowych, przepisów dewizowych itd. itd. Wymaga to znacznej elastyczności umysłu i znajomości życia. Zdarza się przy tem, że gdy biurokrata rozszerza swe horyzonty myślowe i nazbyt to ujawnia, to zostaje oskarżony o mieszanie się do nieswoich rzeczy, uprawianie polityki itp. W prasie jednak wciąż spotykamy zarzuty z okresu XIX wieku. Wielu bowiem krytyków pracy aparatu państwowego żyje nadal w tamtym świecie i powtarza kawały ze starego kalendarza, kawały zresztą nieraz pierwszorzędnej wartości, zwłaszcza gdy są czerpane z tak świetnego „kalendarza", jak utwory Sałtykowa - Szczedrina.

Prawdą wspólną dla czasów przedwojennych i obecnych jest tylko jedno: urzędnicy nie znają dostatecznie dobrze spraw, o których decydują — np. warunków pracy warsztatu przemysłowego czy przedsiębiorstwa handlowego. Ale i nawzajem — krytycy naszej biurokracji nie znają ani warunków, ani rzeczywistych metod jej pracy. Inaczej nigdy nie będzie: znać dobrze, znać do głębi można tylko to życie, którym się żyje i to jeszcze trzeba umieć spojrzeć na nie obiektywnie. Pewien zakres rozumienia i wczuwania się w cudze życie jest jednak niezbędny człowiekowi, który otrzymuje prawo wpływu na to cudze życie. Biurokracja jest godna potępienia jedynie wtedy, gdy brakuje jej pewnego *minimum* rozumienia życia, na które wpływa, i gdy, co gorsze, wykazuje brak dobrych chęci w tym kierunku. Zapewne jest dużo wypadków, gdy brakuje i jednego i drugiego. Czy można jednak te wypadki generalizować. Prosimy wszystkich zabierających głos w tej sprawie o poważne zastanowienie się nad tym pytaniem, poważne — bo w gruncie rzeczy nie można oddzielić biurokracji od państwa. Jeśli się taki podział robi — jest to fikcja prawna, ale rzeczywistość jest niepodzielna.

Chcę tu podkreślić, że jeśli chodzi o krytykę biurokracji ze strony sfer gospodarczych, to jest ona na pewnym poziomie. Zapewne powtarza ona nieraz stare koncepty, zapewne — stosuje ona nieraz chwyty polemiczne, które można by potępić wstąpiwszy na koturny moralne. Ale cała polemika nie wychodzi poza ramy normalnej walki interesów grupowych, nieuniknionych w każdym społeczeństwie, a co najważniejsze nie przekracza obowiązujących form kulturalnych, operuje konkretnymi zarzutami, nie generalizuje ich.

Gdy chodzi o taką broń jak insynuowanie niskich pobudek, jak używanie obelżywych wyrazów, obelżywe przekręcanie ogólnej nazwy, ogólnego pojęcia zawodu, którego zadaniem jest służba publiczna, to jest to wyłączna domena reprezentantów publicystycznych „wysokiej kultury szlacheckiej". Szczególnie zaś „nieestetycznie" wygląda to wówczas, gdy takie obelżywe przekręcenia widzi się w piśmie grupy ideowo - politycznej, mającej w swych szeregach urzędników państwowych. Fakt taki zdradzałby bowiem brak lojalności wobec kolegów po fachu i brak szacunku dla pracy, z której się żyje. W tym ostatnim wypadku byłaby to już tragedia wewnętrzna, godna najwyższego współczucia.

*

* *

Spróbujmy określić, czem jest biurokracja polska jako warstwa społeczna i jak spełnia ona swe funkcje.

Przede wszystkiem rozprószmy nieco szerzoną legendę o wszechmocy tej biurokracji. Weźmy tylko takie fakty: słynny paragraf pragmatyki, pozwalający usunąć urzędnika bez podania powodów, wielokrotne obniżanie poborów, czasem tak krzywdzące i niesprawiedliwe, jak w trybie ostatniej reformy uposażeń, podatek specjalny, o wiele, praktycznie biorąc, mniejsza możność obrony osobistych interesów materialnych, niż w życiu prywatno - gospodarczym. Aczkolwiek piszę ten artykuł w obronie biurokracji, to nigdy nie będę twierdził, iż wykazałaby ona tak absolutny brak egoizmu, gdyby faktycznie rządziła państwem. Proszę porównać ze stosunkami francuskimi i uwzględnić fakt, że biurokracja jako warstwa rządzi jedynie tam, gdzie rządy są słabe lub nietrwałe. Reprezentuje ona wtedy konieczną ciągłość życia państwa, chociaż każe sobie czasem zbyt wiele za to płacić.

Co jest warta nasza biurokracja? Tyle, co całe społeczeństwo. Jest kością z jego kości i krwią z jego krwi. Polska ma taką biurokrację na jaką ją stać z racji ogólnego poziomu kultury duchowej i materialnej oraz przeciętnego poziomu etyki publicznej. Można stawiać wprawdzie wymaganie, iż służba publiczna powinna reprezentować poziom wyższy od przeciętnego. Po pierwsze jednak jest i niemożliwe i nawet niepożądane, by różnica była zbyt wielka, bo wówczas niemożliwe by było wzajemne zrozumienie, po drugie zaś — zaryzykuję twierdzenie, że pewna różnica na korzyść biurokracji istnieje.

Jaka jest mentalność biurokracji, jej światopogląd, jak, i pod wpływem jakich czynników kształtuje się jej stosunek do podstawowych problemów naszego życia i poszczególnych grup społecznych? Odpowiedź na to pytanie wymaga analizy warunków politycznych i gospodarczych, w jakich zrodziła się i żyje nasza młoda państwowość, uwzględnienia zasadniczych cech polskiej kultury, specyficznych cech warstwy z jakiej rekrutują się urzędnicy, sytuacji prawno - politycznej i materialnej rzeszy urzędniczej. Odpowiedź na to pytanie będzie przyczynkiem do nienapisanego dzieła o genealogii nieufności wzajemnej różnych grup społeczeństwa polskiego, nieufności, będącej przyczyną niesłychanie daleko posuniętego rozproszkowania ideowo - politycznego i rodzącego się stąd chaosu, w którym biurokracja reprezentuje pewien ośrodek jakiegoś ładu i porządku, jak to jej przyznaje „poseł prawdy" Aleksander Świętochowski.

Biurokracja polska powstała z warstwy, zwanej inteligencją pracującą. Jeśli chodzi o prądy ideowopolityczne, które miały przed wojną największy po-

pyt w łonie tej warstwy, to możemy określić je jako postępowo - niepodległościowe. Warstwa ta z natury rzeczy była najbardziej wrażliwa na ucisk narodowo - polityczny ze strony najeźdźców, najwięcej również odczuwała ten ucisk w zakresie materialnym, miała bowiem zamknięte dla siebie rozległe i pociągające dziedziny pracy umysłowej.

Niepodległość otworzyła jej te drogi. Wczorajszy petent w zaborczym urzędzie wczorajszy „obiekt" zaborczej władzy wystąpił w roli pełno - prawnego kontrahenta, z początku sam dziwiąc się swemu tupetowi, a potem z pewnością siebie, mając za sobą zwycięskie bagnety. Te chwile dla niejednego dzisiejszego biurokraty pełne były głębokiego patosu. Społeczeństwo jest faktem emocjonalnym. Rodzaj i gatunek emocji, jakie legły u podłoża powstających faktów społecznych, mają wielkie znaczenie nie tylko na dziś, ale i na dalszą przyszłość. Biurokracja jest faktem społecznym. Okoliczność, że u fundamentów powstania polskiej biurokracji leżą silnie przeżyte emocje patriotyczno - społeczne, czyni ją czemś bardzo innym od przedwojennej biurokracji rosyjskiej i austriackiej, chociaż wiele jednostek „żywcem" przeszło z tamtych aparatów państwowych do polskiego. I chociaż nowe jednostki z młodszego pokolenia zaczynają swe kariery w sposób zupełnie normalny, to pewna tradycja na oddziaływanie.

Człowiek podobno nigdy nie jest bezinteresowny. Ludzie, którzy zostali w Polsce urzędnikami, zyskali bardzo dużo. Nie można tych zysków mierzyć skalą wysokości poborów, choć i pod tym względem jako masa mają znacznie więcej, niżby osiągnęli pod władzą zaborców. Przede wszystkiem każdy otrzymał do swej teczki przysłowiową buławę marszałkowską, bo możność awansu we własnym Państwie jest teoretycznie nieograniczona, potem zyskali możność pracy twórczej, wpływania na bieg życia swego Narodu, a poprzez swój Naród — na sprawy całego świata. Przesada? Zapewne, jeśli popatrzymy na sprawę pod kątem widzenia dzisiejszych, realnych możliwości praktycznych. Ale jeśli pojmować moje słowa jako otwarcie się szerokich perspektyw myślowych — to rzetelna rzeczywistość. I dzięki temu biurokracja polska posiada wyobraźnię. To ją też wybitnie różni od biurokracji zaborczych. Jeśli ktoś powie, że posiadanie wyobraźni może być wadą, że jest wadą z racji niedostatecznej fachowości, wiedzy, improwizatorstwa w pracy, decydowania na podstawie wyobraźni zamiast rzetelnych studiów, braku skoordynowania wielu różnorodnych wyobraźni — to się z tem zgodzę. Tem niemniej mam wszelką rację, że Sałtykow Szczedrin do nas nie pasuje, bo z innego świata pochodzi. My zasłużyliśmy sobie na własnego, rodzimego Sałtykowa Szczedrina. Niech się zjawi. Może liczyć na zbyt w środowisku polskiej biurokracji.

Zyskawszy tak wiele na odrodzeniu Państwa, biurokracja „przeraźliwie" i „śmiertelnie" ceni sobie Polskę. Biurokracja reprezentuje już ten poziom kultury duchowej, kiedy się rozumie, że trwałość Państwa i jego siła jest bezpośrednim, żywotnym i osobistym interesem obywateli. I oto gdy przechodzi się do działań praktycznych, biurokracja zaczyna się rozglądać za sprzymierzeńcami, za tymi, na których się można oprzeć jako na sile duchowej i fizycznej w trosce o trwałość i o siłę Państwa, i przede wszystkiem bada sprawę pod tym kątem: „czy tym a tym równie zależy na tem samem co mnie?" I widzi biurokrata przedsiębiorstwo, oparte na kapitale zagranicznym związane tysiącem nici ze swą „metropolią". Powiada wówczas — nie wierzę. Widzi przedsiębiorstwo, które wyrosło w warunkach obcej racji stanu, dorobiło się w oparciu o zaborcze rynki zbytu, wspomina tamte czasy, jako dobre czasy. I biurokrata mówi — nie mam zaufania. Z tego się rodzi etatyzm i dążenia do upaństwowienia przemysłu. Przemysłowiec myśli, i głośno mówi, że to miazmaty wschodu. Tymczasem biurokrata to jednak typowy polski inteligent. Naiwnie sądzi, że przemysłowiec, to znaczy człowiek, który potrafił zrobić majątek, nigdy nie jest tak ograniczony umysłowo, żeby jego, polskiego biurokratę, w dobrej wierze posądzać o komunizm. Napewno, myśli biurokrata, oczernia mnie z całą świadomością, w interesie kapitału zagranicznego. I nie wierzy jeszcze bardziej. Bo biurokracja ma swoje dotkliwe doświadczenia z kapitałem zagranicznym. Kapitał ten bowiem nieraz wykorzystywał początkowe niewyrobienie, a wspomnienia te są piekące, bolesne a nieraz i upokarzające.

Czas jednak idzie naprzód. Wyrastają powoli przedsiębiorstwa, wyrosłe z rdzennie polskiej rzeczywistości, funkcjonalnie tylko z Polską związane. Powiedzmy Cegielski. Gdzie znajdzie się biurokrata, który by myślał o upaństwowieniu Cegielskiego? Poco, jeśli to przedsiębiorstwo jest w założeniu swoim „upaństwowione". I tak samo każde, które usadowi się w Centralnym Okręgu, a zatem w miejscu, w którym nie potrafi istnieć bez istnienia Polski a więc zostanie z Polską związane na śmierć i życie, tak samo jak i biurokracja i tak samo jak wojsko. Wówczas może dostać nawet warunki uprzywilejowane, pozostając ściśle prywatną własnością.

Jeśli chodzi o kwestię agrarną, to sprawa jest bardziej skomplikowana, nieufność bowiem ma podłoże nie tylko społeczne ale i historyczne. Operujemy argumentami prymitywnymi, bo są one, psychologicznie biorąc, najbardziej istotne, gdy chodzi o zjawiska masowe. Inteligencja polska zna przecież historiografię z czasów upadku Rzeczypospolitej. Rola szlachty, zwłaszcza magnatów, przedstawia się w jej oczach w sposób zupełnie niedwuznaczny. Warstwa ta opierała się i oparła się skutecznie związaniu chłopa z państwem. A chłop stanowi podstawę siły fizycznej. Biurokrata zestawia sobie cyfry — 17 tys. rodzin ziemiańskich a 17 milj. polskich chłopów — i wobec tego „z całą biurokratyczną bezdusznością" zabiera się do wykonywania ustawy o reformie rolnej. Ziemianie wówczas zaczynają twierdzić, że jest to torowanie drogi komunizmowi. A biurokrata nie może zrozumieć, dlaczego wykonywanie ustawy, uchwalonej w celu powstrzymania zbrojnego zalewu komunizmu, ma torować drogę komunizmowi dzisiaj? Może dlatego, żeby w wypadku ponownej wojny było znowu co chłopom obiecać? W przeciwieństwie jednak do reakcji na podejrzenie przemysłowców, biurokrata nie węszy za oskarżeniami ziemian

żadnych chytrych intryg. Wszystko dla niego jest jasne jak na dłoni. Bo biurokrata dzisiejszy, jako człowiek miejski, ma poczucie swojej wyższości kulturalnej nad ziemianinem. Jeśli posłyszy oskarżenie go o uleganie wpływom wschodu, to osądzi, że ziemianin nie ma pojęcia czem jest komunizm, że nie czytał opowieści Żeromskiego o Żołnierzu Tułaczu, przy czytaniu której, w młodości, jemu, bezdusznemu biurokracie, zaciskały się pięści w pragnieniu kary i pomsty niebios. Osądzi, że ziemianin istotnie może szczerze posądzić go o komunizm, gdyż ziemiaństwo w jego mniemaniu nie jest zdolne umysłowo rozumieć problemów współczesności, a płacąc demagogią za demagogię powie, że ziemiaństwo zawsze *szczerze* było przekonane o tem, że parcelacja folwarków jest dla Narodu Polskiego większym nieszczęściem od parcelacji Polski. Tem bardziej jednak biurokracja nie ma do ziemiaństwa zaufania.

A co się tyczy tych obelżywych wypadów publicystycznych z okopów Św. Trójcy, to stwierdzając ich obiektywną obelżywość, uzurpuję sobie prawo w imieniu całej biurokracji polskiej oświadczyć, że subiektywnie nie czujemy się obrażeni. Zbyt głęboko bowiem tkwi w nas przekonanie o naczej czystości moralnej. Oprócz tego świadomi jesteśmy wagi tej roli dziejowej, jaką spełnialiśmy i spełniamy w odrodzonej Polsce. Ze swymi wadami, błędami, brakami, spełniamy pracę pożyteczną i nieodzowną i widać nie spełniamy jej źle, skoro Państwo Polskie rozwija się i nabiera znaczenia w świecie. Ze swymi błędami, wadami i brakami jesteśmy *rzeczywistością* a nie cieniem przeszłości, i to nie zawsze chwalebnej.

Prawda. Istnieje w Polsce rzeczywistość inna, potężna i nieznana — rzeczywistość chłopska. Nie zawsze jesteśmy wobec niej w porządku, ale i nie zawsze dzieje się to tylko z naszej winy. Fakt ten nie uprawnia jednak do kreowania się w tej sprawie na arbitrów i sędziów „słowotwórców", którzy mając za podstawę tej „słowotwórczości" jedynie swą własną psychikę, nie mogą się doszukać w stosunku biurokracji do sprawy chłopskiej nic, poza względami personalno - karierowymi. Nie uprawnia, „bo spory między rzeczywistościami"; jak powiada Brzozowski „nie dotyczą w niczem istot, które świerzb językowy mają — tak niezawodnie, i pewną zdolność w naśladownictwie tych form językowych, za których pomocą ludzie wyrażają myśli, lecz zdolności pomyślenia choćby jednej jedynej sprawy rzeczywistej — nie, przenigdy nie."

TOMASZ KORNICZ

# NIEBEZPIECZEŃSTWA KONIUNKTURY

*Poprawa koniunkturalna zmniejsza napięcie uwagi w okół zagadnienia kosztów produkcji. Wysiłki w tej dziedzinie zdecydują o przebiegu najbliższego kryzysu w Polsce.*

Niebezpieczeństwa, związane z przebieganiem poprawy koniunkturalnej w formach i po torze „niewłaściwym" — że użyjemy tu tego nieścisłego wyrażenia — są tem większe, że polityka gospodarcza i opinia są na nie narazie mało wrażliwe. Medycyna używa ostatnio wyrażenia „zarażenie bezobjawowe". Nie znam dokładnej treści tego terminu, sądzę jednak, że chodzi tu o takie stany chorobowe, które nie dają się obserwować poprzez normalne sygnały choroby, takie, jak podniesiona temperatura czy ból. Natomiast ujemne skutki dla organizmu, te, które łatwo dadzą się zaobserwować dopiero ex post, ale doraźnie dają się przewidzieć jedynie na zasadzie mikroskopowego wykrycia w organizmie drobnoustrojów, mogą być niemniej poważne, niż przy chorobie objawowej. Przy wyższym poziomie dochodu społecznego, przy wzrastającym zatrudnieniu i stopie życiowej, w obliczu rosnących nakładów inwestycyjnych, itp. itp. pewne procesy „zarażenia bezobjawowego" w płaszczyźnie gospodarczej mogą trwać długo bez wywoływania dostatecznej reakcji, chociaż skutki ich z chwilą załamania się koniunktury wystąpią z całą ostrością.

Każda poprawa koniunkturalna rozpoczyna się z balastem przerostów i dysproporcji kryzysowych, mniej lub więcej niezlikwidowanych. Każdy okres poprawy niektóre z tych dysproporcji łagodzi, niektóre pogłębia i z reguły dodaje do nich nowe. Saldo decyduje o szybkości załamania koniunktury i o głębokości następnego kryzysu.

Wychodzę z założenia, że istotą poprawy koniunkturalnej jest rozwój procesów inwestycyjnych, opartych częściowo o to, że z rosnącego dochodu społecznego społeczeństwo ma możność przeznaczać większą część na nakłady inwestycyjne, nie zaś na konsumcję bezpośrednią, ale częściowo także o siłę nabywczą „sztuczną", o ekspansję kredytową, słowem o inflację w szerokim znaczeniu tego słowa. Nie neguję, że inne procesy takie, jak odmienny podział dochodu pomiędzy kapitał i pracę, pomiędzy poszczególne grupy produkcyjne, jak stały powolny wzrost cen, i wzrost rentowności produkcji, cechują zazwyczaj okres poprawy i na przebieg tej poprawy wpływają. Sądzę jednak, że procesy te należy zaliczyć bądź do objawów, bądź do wtórnych przyczyn poprawy koniukturalnej, i że w zasadzie przynajmniej można sobie wyobrazić poprawę bez poszczególnych z tych procesów, podczas gdy ożywienie koniunkturalne 1) bez wzrostu nakładów inwestycyjnych, 2) bez ekspansji kredytowej — jest nie do pomyślenia. I dlatego właśnie, że inwestycjom opartym o ekspansję kredytową przypada taka rola w procesie poprawy koniunkturalnej, załamanie się koniunktury wiąże się z zachwianiem proporcji pomiędzy rosnącą zdolnością

produkcyjną i nienadążającą za nią zdolnością nabywczą rynku.

Nie sądzę, ażeby bardzo dziś rozpowszechnione poglądy jakobyśmy w bardzo znacznym stopniu mogli opóźnić załamanie koniunktury u nas, były słuszne. Wynika to stąd, że w zakresie rolnictwa jesteśmy krajem bardzo silnie od świata uzależnionym i że przy największej czujności i przy największych wysiłkach polityki gospodarczej ujemny wpływ załamania koniunktury zbożowej w świecie jesteśmy w stanie conajwyżej osłabić. Równocześnie zaś liczę się z tem, że podobnie jak kryzys poprzedni, i kryzys najbliższy zostanie, że tak powiem zainaugurowany przez załamanie na odcinku zbożowym. Wskaźniki wzrostu areału zbóż na świecie upoważniają jak sądzę do tego twierdzenia. Nie rozwijam tego zagadnienia szerzej, sądzę jednak, że na skutek wielkiej roli eksportu rolnego w całości naszego eksportu, a produkcji rolnej w całości naszej produkcji, uderzenie od strony światowego kryzysu zbożowego wyczujemy silnie, i tem samem nie zdołamy poważnie opóźnić załamania poprawy w Polsce. Natomiast wydaje mi się rzeczą wysoce pomyślną, iż załamanie to nie powinno przybrać form silnej dezorganizacji rynku kredytowego. Jesteśmy w tej chwili wolni od błędu, który popełniony został w szeregu krajów, a w tym rzędzie i u nas, przed ostatnim kryzysem w postaci finansowania życia gospodarczego kredytami konsumcyjnymi. Niewątpliwie w obliczu osłabienia koniunkturalnego pokusa sięgania po ten środek, na krótko tylko galwanizujący życie gospodarcze, wzrośnie. Mam wrażenie jednak, że tu niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Świadomość, że środek ten jest mało i tylko doraźnie skuteczny, jest powszechna, aparat bankowy i handlowy pamiętają dobrze ujemne doświadczenia z tym rodzajem kredytu, możność techniczna korzystania z tej drogi jest pomniejszona. Sądzę również, że w porównaniu z tem, co się działo u nas przed ostatnim kryzysem, jesteśmy w znakomicie lepszej sytuacji, jeśli chodzi o udział kredytów krótkoterminowych w finansowaniu inwestycyj. W zakresie inwestycyj prywatnych nie dysponujemy oczywiście żadnemi cyframi. Sądzę jednak, że wolno dziś twierdzić, że w tej dziedzinie dominuje samo—finansowanie bez uciekania się do kredytu długoterminowego, nie mówiąc już o krótkoterminowym. W zakresie inwestycyj państwowych p. Wicepremier zacytował w swym przemówieniu w Izbach Ustawodawczych cyfry, wskazujące w jak stosunkowo niewielkiej mierze plan inwestycyjny oparty jest o kredyt krótkoterminowy. Z pewnością nie jest to ideał, z pewnością jest to jeszcze pewien grzech przeciwko klasycyzmowi, ale bądźmy szczerzy, jest to zapewne jeszcze lepiej, niż kiedykolwiek bywało w zakresie inwestycyj prywatnych. Można wprawdzie dowodzić, że kredyty długoterminowe oparte są w dużej mierze o wkłady krótkoterminowe, sądzę jednak, że wolno już dziś wyraźnie traktować sumę lokat krótkoterminowych jako lokatę w lwiej części długoterminową, oczywiście, pod warunkiem dostatecznie wielkiej masy lokat i dostatecznej siły instytucji oszczędnościowej oraz dostatecznego do niej zaufania. Te wszystkie warunki są u nas jak sądzę spełnione, i dlatego nie obawiam się, ażeby kryzysowe załamanie mogło wywołać na rynku kredytowym ostre, gwałtowne perturbacje.

Natomiast wracając do tego, co powiedziałem wyżej, a mianowicie do twierdzenia, że kryzys światowy uderzy nas zapewne poprzez rolnictwo, wydaje mi się rzeczą wysoce niekorzystną, że udział rolnictwa w dochodzie społecznym pomimo dotychczasowego wzrostu nie jest tak znaczny, aby ten odłam gospodarstwa społecznego, który zostanie pierwszy zaatakowany, który, że się tak wyrażę, będzie miał odegrać rolę buforu, mógł rozładować siłę uderzenia, przychodzącego ze świata. Przeciwnie sądzę, że zmniejszenie się zdolności nabywczej rynku wiejskiego wystąpi z wielką siłą i szybkością, jeśli w międzyczasie nie nastąpią pewne zmiany na lepsze.

Wyżej poruszone zagadnienie odporności na pierwsze ciosy kryzysu wiąże się z drugą grupą zagadnień, wymienionych na wstępie niniejszego artykułu, t. zn. przerostów, odziedziczonych przez okres obecny z okresu poprzedniego. Coraz rzadziej niestety przypomina się o tem, że weszliśmy w poprawę koniunkturalną bez pełnego zlikwidowania tych przerostów. Że ciągną się one już poprzez pełny cykl koniunkturalny, że powstały podczas prosperity 1928 roku, albo wcześniej, przetrwały kryzys, i obawiać się wolno, że przetrwają obecną poprawę, komplikując przebieg kryzysu następnego. Stosunkowo mniejsze już dziś znaczenie przywiązuję do faktu niewysanowania bilansowego niektórych przedsiębiorstw przemysłowych. Liczba tych przedsiębiorstw uległa jednak pewnemu zmniejszeniu, przyczem o większości z nich można powiedzieć, że właściwie mimo nieuporządkowania de iure, uporządkowały de facto swoje zadłużenia, w tym sensie przynajmniej, że wierzyciele spokojnie zadawalniają się i zadawalniać będą corocznym ewidencjonowaniem... swoich nieściągalnych należności. Niepomiernie ważniejsze jest dla mnie zagadnienie pewnych generalnych przerostów w kosztach produkcji, czy to przemysłowej, czy to rolniczej. Jest to właśnie typowe zagadnienie, mało zwracające uwagi w okresie poprawy, natomiast oddziaływujące z całą siłą z chwilą kryzysowego załamania.

Sprawa przerostów w kosztach produkcji ma oczywiście pierwszorzędne znaczenie dla wszystkich dziedzin życia gospodarczego, które pracują w warunkach silnie zaostrzonej walki konkurencyjnej i nie są w stanie w drodze sztucznego ograniczania podaży przystosowywać poziomu cen do poziomu kosztów. Jednakowoż spośród wolnokonkurencyjnych dziedzin życia gospodarczego najbardziej zainteresowane jest rolnictwo, zważywszy, że bądź co bądź i produkcja rzemieślnicza i produkcja drobnego wolnokonkurencyjnego przemysłu pracuje potrosze „w cieniu" wielkiego skartelizowanego przemysłu, ponadto zaś oba te działy produkcji nie mają z reguły do czynienia z walką konkurencyjną w skali międzynarodowej, na rynkach eksportowych. Te przerosty kosztów, jakie po dzień dzisiejszy napotykamy w wytwórczości rolniczej, dzisiaj prowadzą jedynie do pomniejszenia udziału rolnictwa w ogólnym dochodzie społecznym — działającym na szkodę samego tylko rolnictwa. Nie jest to oczywiście rozgrzeszenie, lecz jedynie wyjaśnienie, dlaczego w sferach nierolniczych zagadnienie powyższe nie skupia dostatecznej uwagi. Natomiast z chwilą załamania kryzysowego sprawa nabierze znaczenia ogólnego. Podkreślić przy tem na-

leży, że mówiąc o przerostach w kosztach produkcji rolniczej mamy na myśli elementy niezależne ani od samego rolnictwa, ani od polityki rolniczej. Nie omawiam tej rzeczy bliżej, jeśli bowiem mówi się o niej mniej, względnie mówi się nieco jednostronnie, akcentując pewne odcinkowe zagadnienia, (np. zagadnienie cen nawozów sztucznych), to przecież u progu poprawy koniunkturalnej sprawa ta była wyczerpująco omówiona. A niestety stwierdzić możemy, że np. problem taki, jak sztywność systemu obciążenia podatkowego rolnictwa, (prawie zupełny brak koniunkturalnej elastyczności w tym systemie), przedstawia się dziś tak samo, jak u progu kryzysu. Jeśli się zważy, że zapewne poziom cen rolnych nie wzrośnie już w obecnym cyklu koniunkturalnym i że przy obecnym poziomie pewna dość znaczna liczba gospodarstw rolnych z trudem, albo nie w pełni wywiązuje się z obowiązku obsługi długów przedkryzysowych, to również i w odniesieniu do tego elementu kosztów będziemy musieli stwierdzić, że dla pewnej, oczywiście pokaźnie mniejszej niż w okresie ostatniego kryzysu grupy gospodarstw wiejskich, zagadnienie przerostu w kosztach obsługi zobowiązań u progu nowego kryzysu stać będzie z dużą ostrością.

Tych kilka z natury rzeczy nie pełnych uwag na temat przebiegu poprawy koniunkturalnej w Polsce pozwala nam na sformułowanie wniosku, na określenie, na czem polegają niebezpieczeństwa poprawy dzisiejszej pod kątem najbliższego kryzysu. Wydaje się nam mianowicie, że proces inwestycyjny prowadzony i finansowany w tym trybie, jaki stosujemy w Polsce, stanowi czynnik raczej łagodzący przyszłe załamanie kryzysowe z przebiegiem klasycznym. Dwukrotnie natomiast — analizując zagadnienie rezerw i zagadnienie kosztów — stwierdziliśmy, że na odcinku rolnictwa, a więc na tym odcinku, który skutki światowego kryzysu wyczuje zapewne najwcześniej, istnieją pewne „niebezpieczeństwa poprawy". Polegają one nie tyle na wzroście kosztów w obecnej fazie koniunkturalnej, gdyż na ogół polityka Rządu w zakresie hamowania wzrostu kosztów została uwieńczona znacznym sukcesem, co na nie pełnym zlikwidowaniu odziedziczonych przerostów. Mamy przed sobą jeszcze okres poprawy dostatecznie zapewne długi, by dalsza akcja obniżania kosztów produkcji mogła w zasadzie dać wyniki. Zaniedbanie wysiłku w tym kierunku stanowiłoby największe niebezpieczeństwo poprawy koniunkturalnej i zdecydowałoby o konieczności bardzo szybkiego z momentem pogorszenia koniunktury sięgania po sztuczne środki, zwiększające udział rolnictwa w dochodzie społecznym, środki mało skuteczne, jak wiemy z doświadczenia, i obosieczne, gdyż prowadzące do odrywania ogólnego poziomu cen w Polsce od poziomu cen światowych.

WITOLD PTASZYŃSKI

# POMARAŃCZOWY PROBLEM

*Import towarów bezpośredniego spożycia, jak pomarańcze, tkaniny, galanteria itp., jest w polskich warunkach kapitalizacyjnych i demograficznych uzasadniony tylko i wyłącznie potrzebą utrzymania niezmniejszonych rozmiarów eksportu. Dlatego nie należy pozostawiać bez rozpatrzenia żadnego środka, który, umożliwiając ewentualne zachowanie dotychczasowych rozmiarów eksportu, prowadziłby do zwiększenia importu dóbr kapitałowych kosztem dóbr, przeznaczonych dla bezpośredniej konsumcji.*

Ramy poniższego artykułu wyznaczone będą ogólnym pytaniem: jak sharmonizować wymianę z zagranicą z trwałymi koniecznościami gospodarczemi kraju? Przez trwałe konieczności rozumiemy: kapitalizację i wiązanie w procesach produkcyjnych rosnącego nadmiaru rąk wolnych do pracy. Temat — jak widać — nie jest nowy, ale w polskich warunkach demograficznych, w miarę lat, zamiast tracić — zyskuje na aktualności. To powinno usprawiedliwić piszącego, jeśliby rozważał rzeczy zbyt oderwane od chwili bieżącej. Może w przyszłości także staną się one aktualne?!

Dla wprowadzenia Czytelnika w „problem pomarańczy" i inne pokrewne, musimy przedtem przypomnieć pewne oczywistości.

Kapitalizacja — pierwszy wyraz polskich konieczności gospodarczych — możliwa jest jedynie drogą wytwarzania dóbr produkcyjnych zamiast obracania posiadanych możliwości *nabywczych i wytwórczych* na dobra konsumcyjne. Powyższą oczywistość można bliżej określić dwiema innemi w niej samej zawartemi: 1) tylko te jednostki mogą kapitalizować, które dysponują możliwościami nabywczemi lub wytwórczemi, oraz 2) w obrębie państwa, jako samostanowiącego zespołu gospodarczego, można dla celów kapitalizacyjnych wytwarzać dobra konsumcyjne w zamiarze ich wymiany z zagranicą na dobra produkcyjne. Weźmy najbardziej jasny przykład.

W porównaniu z rokiem 1928 spożywamy w Polsce prawie dwukrotnie więcej pomarańcz, bananów, winogron i innych owoców importowanych — o ogólnej wartości 35,5 mln. zł (w r. 1937). Oznacza to ekonomicznie, że wyprodukowaliśmy pośrednio tj. w drodze wymiany zagranicznej dóbr konsumcyjnych za 35,5 mln. zł. Dobra te zostały spożyte przez grupy ludności, rozporządzające odpowiedniemi możliwościami nabywczymi, które, jak to wyżej stwierdziliśmy, mogłyby stanowić źródło kapitalizacji.

Wprawdzie możliwości *nabywcze* posiadał również nie jeden bezrobotny i małorolny, ale nie sądzimy, aby dały się one przekształcić w dobra produkcyjne. Dotykamy tu sedna rzeczywistości gospodarczej i pozagospodarczej w Polsce — stanu podkonsumcji, prowadzącego do:

a) obniżenia do najniższych granic sił produkcyjnych jednostek;

b) obniżenia jeszcze silniejszego ich zdolności do udziału w obronie kraju i,

c) podwyższenie do maksimum potencjału gwałtownych przemian społecznych.

Ostatnio opublikowane przez Instytut Spraw Społecznych tablice przewidywanego wzrostu liczebności roczników zdolnych do pracy zilustrują dodatkowo dla „wątpiących" znaczenie punktów *a*, *b* i *c*. Przewidująca polityka gospodarcza i polityka „tout court" — niezależnie od ewent. interesów grupy, w której rękach znajdzie się dyspozycja władzą — musi tak kierować procesami przyrostu kapitalizacji, aby odbywały się one najszybciej i z najmniejszym wstrząsem społecznym.

Jest pewne, że gdybyśmy nie spożyli w roku ubiegłym 600 tys. q owoców zagranicznych — pozostało by to bez godnego zainteresowań publicznych wpływu *ujemnego* na zdolność do pracy jednostek konsumujących owoce, na ich zdolność do obrony kraju i na stan potencjalny niepokoju społecznego. Co więcej, — w wypadku obrócenia możliwości nabywczych w wysokości 35,5 mln. zł, wydanych na import owoców na wytworzenie środków produkcyjnych — wszystkie wzmiankowane czynniki *a*, *b* i *c*, łącznie z dochodem społecznym, wykazałyby korzystną ewolucję. Ostateczny wniosek jest ten, że zamiast umożliwić wydatkowanie 35,5 mln. zł na owoce zagraniczne — polityka handlowa powinnaby zmierzać do zakupienia przez importerów za równowartość tej sumy środków produkcyjnych nie wytwarzanych w kraju, a to nawet wtedy, *gdyby rynkowa wartość tych środków zagranicą wynosiła mniej*, niż 35,5 mln. zł, np. 20 mln. zł.

W konkretnym wypadku taka polityka handlowa prowadzić by mogła do specjalnego przebiegu wymiany międzynarodowej.

Uczyńmy założenie, które w rzeczywistości często występuje, że 1°) nie możemy nabyć np. w Szwecji narzędzi stalowych hartowanych do obrabiania metali, gdyż nie dysponujemy wolnemi dewizami, oraz

[1]) Fragment odpowiedzi na ankietę Polskiego Tow. Ekonomicznego we Lwowie w sprawie polityki handlu zagranicznego.

że 2°) nasz handel np. z Palestyną dokonywa się według relacji wartości wwozu i wywozu jak 1:1. W tych warunkach możemy jednak postarać się o zakupienie w Palestynie, jako w kraju pośredniczącym — potrzebnych narzędzi hartowanych za 5 mln. zł, rezygnując jednocześnie z zakupienia importowanych w latach poprzednich pomarańczy i grapefruit'ów za sumę również 5 mln. zł. Rzeczywista wartość narzędzi na rynku szwedzkim, gdzie zostały wyprodukowane i odprzedane Palestynie wynosiłaby np. tylko 3 mln. zł. Można sądzić, że żydzi, jako wyrobieni pośrednicy handlowi... akceptowaliby zarobek netto 2 mln. zł i zgodzili się uznać „eksport" narzędzi stalowych za równoznaczny z eksportem pomarańcz, zwłaszcza, że mogliby zapewne uzyskać od Szwecji zgodę na eksport do tego kraju owoców palestyńskich za równowartość 3 mln. zł zakupionych narzędzi.

Gdyby polski aparat handlowy był odpowiednio zorganizowany i wyszkolony, to przedstawiony przebieg transakcyj mógłby ulec zmianie w tym sensie, że my zakupilibyśmy w Palestynie pomarańcze za 5 mln. zł, a srzedalibyśmy je Szwecji np. za 4 mln. zł, zakupując wzamian również za 4 mln. zł — narzędzi stalowych. Dałoby to w porównaniu z transakcją poprzednią oszczędność np. 1 mln. zł i przyniosłoby zysk 1 mln. zł Szwedom, zamiast jak poprzednio 2 mln. zł — żydom.

Oczywiście w obu wypadkach, jak i w dalszym biegu rozważań, przyjęliśmy za pewne, że zmniejszenie jednostronne importu z określonego państwa przez Polskę prowadziłoby w krótkim czasie do zmniejszenia rozmiarów naszego eksportu do tegoż państwa. Jeśliby mogło dziać się inaczej, wówczas artykuł nasz omawiałby zgoła inne problemy handlu zagranicznego, niż te, które rozważamy.

Przekształcenie w czyn koncepcji ekonomicznej, jaką zawierają wyżej podane przykłady, jest trudne nawet przy dzisiejszej strukturze i polityce wymiany międzynarodowej, ale niemniej leży ono w granicach polskich możliwości. Sama koncepcja oznacza, że zdolność nabywcza np. 5 mln. zł może być w całości skapitalizowana na równowartość jedynie 4 wzgl. 3 mln. zł. Strata 1 — 2 mln. zł jest w zasadzie nieunikniona, gdyż Szwecja zdecydowała się na nabycie „dodatkowych" pomarańcz na podstawie umożliwienia jej przez Polskę poprowadzenia 1) własnego doskonale rentującego się eksportu lub, 2) wyjątkowo taniego importu, czyli krótko, — na podstawie specjalnych korzyści.

Niezależnie od form realizacji przez Polskę eksportu pomarańcz z Palestyny do Szwecji — strata będzie musiała zostać pokryta na rynku wewnętrznym, co zazwyczaj wyraża się w ogólnej zwyżce poziomu cen. Możliwe i celowe jest wszakże przerzucenie ciężaru straty na dobra i usługi konsumowane przez określone grupy ludności. Tu znów wróćmy do kryteriów *a*, *b* i *c* wyżej podanych, uznając, że pewne grupy konsumentów (np. rodziny urzędnicze, w których 250 zł miesięcznego dochodu i więcej przypada na 1 dorosłego członka) łatwiej, niż inne zniosą dodatkowy ciężar kapitalizacji, jaki stanowi strata na imporcie narzędzi hartowanych. Będą to zatem niejednokrotnie te same grupy, które dotychczas były konsumentami zagranicznego towaru bezpośredniego spożycia, a więc owoców południowych w naszym przykładzie. Zwolniona, na skutek niemożności dokonania zakupów, zdolność nabywcza wspomnianych grup ludności powinna być przejęta przez państwo w części potrzebnej na pokrycie strat na imporcie narzędzi hartowanych. Przejęcie może być dokonane w różnej postaci technicznej — a więc np. drogą zmniejszenia płac lub obciążenia specjalnym podatkiem cen artykułów gotowych, nabywanych głównie przez określone grupy ludności na potrzeby własne.

Gdyby straty zostały, jak to dzieje się w szeregu innych wypadków, przerzucone na ogół ludności za pośrednictwem całkowicie swobodnego wzrostu cen, rozpoczynając od nadmiernej (w porównaniu z zagranicą) ceny importowanych narzędzi — a zatem gdyby dopiero wraz ze zwyżką kosztów utrzymania zmniejszyły się realne dochody konsumentów — to 1° nie nastąpiłoby przerzucenie strat na grupy z góry wybrane, co postulujemy w myśl kryteriów *a*, *b* i *c*, oraz 2°) zjawiałaby się konieczność wyrównania ogólnego poziomu cen krajowych z cenami zagranicznemi, poprzedzona okresem trudności eksportowych. Uwagi powyższe czynimy przy założeniu, że transakcje z podanego przez nas przykładu byłyby prowadzone w szerokiej skali, choć co do meritum uwagi te pozostają właściwe nawet w granicach owego przykładu.

Przerzucenie strat ponoszonych w handlu zagranicznym na rynek wewnętrzny jest i było zjawiskiem codziennym; chcieliśmy tylko wskazać kierunek, w jakim przerzucanie powinno być dokonywane, a jednocześnie przygotować Czytelnika do rozważenia problemów perturbacyj ekonomicznych, jakie mogłyby towarzyszyć realizacji naszych postulatów importowych.

Przed tem wspomnieć jednak jeszcze należy o zdolności importowanych dóbr kapitałowych do wiązania pracy w procesach produkcyjnych na skutek jednoczesnego zużycia w nich obu czynników plus surowiec. Zastępując więc import „tanich" pomarańcz dla celów spożycia importem „drogich" narzędzi do obróbki metali, umożliwiamy wzrost zatrudnienia w kraju. Gdyby nawet wzrost ten mógł nastąpić przy wyjątkowo tylko niskich stawkach płacy i gdyby, przez stratę na cenie rynkowej narzędzi, ogólna konsumcja obywateli miała ulec czasowemu zmniejszeniu, to jeszcze w warunkach polskiego przeludnienia jedynie celowe — w myśl wyżej określonych (i analogicznych) kryteriów *a*, *b* i *c*, — jest nabycie „drogich" narzędzi, zamiast „tanich" pomarańcz. „Tanie" pomarańcze nie usuwają *żadnej* trudności z życia gospodarczego — podczas gdy „drogie" narzędzia ułatwiają przezwyciężenie jego głównych trudności strukturalnych, oczywiście *zakładając* w myśl przytoczonego wyżej przykładu, że eksport nasz pozostaje w niezmienionych in minus rozmiarach. Mówimy zapewne komunały — ale jak dotąd, te komunały ekonomiczne, nie prze-

kształciły się wystarczająco w komunały polityczno-handlowe. Importujemy więc np. w całości lub w znacznej części dla konsumcji krajowej (w r. 1937): owoców i jagód jadalnych za 35 mln. zł, towarów t. zw. kolonialnych (kawa, herbata, etc.) za 25 mln. zł, futer karakułów, skunksów, cybetów etc. za 19 mln. zł, napojów wyskokowych za 4 mln. zł, biżuterii nieprawdziwej za 2 mln. zł, roślin dekoracyjnych itp. za 2 mln. zł — nie wspominając o śledziach, tytoniu, ryżu etc. Według obliczeń G. U. S. ogółem przywieziono w 1937 r. t. zw. artykułów gotowych do sprzedaży detalicznej lub do użytku konsumentów za 184,5 mln. zł.

Doceniając korzyść przekształcenia importu znacznej części powyższych i innych towarów na import towarów o charakterze kapitalizacyjnym, należy jednak — poza omówioną już kwestią strat — określić perturbacje ekonomiczne, jakie nam grożą z tego powodu w przebiegu procesów produkcyjnych.

Dominujące znaczenie w tej dziedzinie posiada zjawisko wielkiej elastyczności czynnika pracy w porównaniu ze znacznym usztywnieniem czynników kapitału i elementów naturalnych zjawisko, — jak nam się wydaje, — niedostatecznie uwzględniane przez ekonomistów. Polega ono, w jednym ze swych dwu aspektów, na tem, że pracownik posiada zdolność produkowania, tj. współdziałania z kapitałem, prawie niezmienioną mimo stosunkowo znacznych zmian w swym dochodzie realnym, czyli w ilości zużytych dla spożycia dóbr. Kapitał - maszyna natomiast powinna, dla zachowania równowagi w wymianie, pozostawać w ruchu tę ilość godzin na dobę, jaka jest odpowiednią w stosunku do całokształtu produkcji kraju. Wyraża się to materialnie w zużyciu ściśle określonych ilości środków naturalnych, surowców, kapitału i pracy, a rachunkowo w fakcie, że maszyna-kapitał musi być opłacana prawie niezależnie od tego czy pozostaje w ruchu, czy też nie pracuje. W szczególności zatem pracownik może w jednym okresie jadać 3 jaja na tydzień, w innym zaś 6 jaj — bez istotnych zmian w wydajności pracy, podczas gdy utrzymanie w ruchu warsztatu tkackiego wymaga stałej „konsumcji" x kg przędzy na dzień.

Drugim aspektem elastyczności pracy i sztywności kapitału jest większa zdolność pracy niż kapitału do zmiany rodzaju produkcji. Kapitał w postaci np. maszyny do wytwarzania beretów nie da się ekonomicznie przekształcić na żniwiarkę, natomiast tenże sam pracownik może bez trudności obsługiwać jedną i drugą maszynę. W rezultacie łącznym oba aspekty sprowadzają się do twierdzenia, że zmiany w strukturze handlu zagranicznego będą prowadziły do stosunkowo najmniejszych perturbacyj w procesach produkcji, o ile

1) dotyczyć będą importu artykułów przeznaczonych bezpośrednio dla spożycia ludności — np. owoców, win, konfekcji gotowej, etc.,

2) nie będą dotyczyć importu tych towarów, do których rozprowadzenia lub przerobu zainwestowany został w kraju kapitał nie dający się przekształcić dostatecznie tanio na nową postać, dopasowaną do aktualnych potrzeb produkcji. Przykładem może być bawełna, tak długo, jak długo postępy techniki kotonizacji i przerobu krajowych włókien nie umożliwią dostatecznego wykorzystania *istniejących* warsztatów.

Co do punktu 1°) zaznaczyć należy ponadto, że import dóbr kapitałowych, zastępujących np. import owoców powinien znaleźć zastosowanie w produkcji tych towarów, które będą nabywane na skutek usunięcia owoców południowych z rynku, chyba że inne działy produkcji posiadają niedostateczną zdolność wytwórczą.

Z powyższego wynika, że tendencja do ograniczenia importu towarów, służących bezpośredniej konsumcji, posiada nie tylko charakter tradycyjnej doktryny nacjonalizmu ekonomicznego, ale stanowi również koncepcję samodzielnie uzasadnioną pod względem ekonomicznym, zmierzającą do uniknięcia „ujemnych" perturbacyj na rynku wewnętrznym oraz do transakcyj kapitalizacyjnych w wymianie zagranicznej. Jeśli bowiem idzie o perturbacje, które nastąpią niewątpliwie, to wewnątrz kraju wyrażą się one wzrostem popytu na towary krajowe, przy jednoczesnym wzroście, dzięki sprowadzeniu kapitałów z zagranicy, zdolności wytwórczej kraju — a zatem będą miały charakter „dodatni", t. j. korzystny dla życia ekonomicznego.

Wprawdzie jednostki konsumujące dotąd towar zagraniczny, uzyskają prawdopodobnie w przyszłości towar mniej im odpowiadający, ale — w myśl założeń co do wyboru najwłaściwszych grup kapitalizacyjnych — nie będzie to miało ujemnego wpływu na zdolność tych jednostek do pracy i obrony kraju i na ich nastawienie społeczne; jednocześnie natomiast procesy produkcyjne krajowe rozszerzając się, umożliwią wzrost zatrudnienia, tj. „automatyczny" rozdział dochodu społecznego wśród większej liczby ludności. Że do tego ostatniego dążyć w Polsce należy — to zapewne oczywistość.

Wychodząc poza granice obrotu handlowego w wąskim sensie — uwagi wyżej sformułowane zastosować można w szczególności do ruchu turystycznego, który obciąża nasz bilans płatniczy sumą zapewne ok. 50 — 70 mln. zł (r. 1937). Przekształcenie tych sum na import kapitalizacyjny choćby drogi, wydaje się *stosunkowo* łatwe do przeprowadzenia.

Ów import kapitalizacyjny, według przytoczonego przykładu transakcji wymiennej: narzędzia szwedzkie za pomarańcze palestyńskie — nie jest zastosowaniem wielostronnej wymiany międzynarodowej na wzór liberalny. Stanowi on natomiast sui generis dumping za pośrednictwem materialnym towarów pochodzenia zagranicznego.

Zastąpienie tych towarów produkcją krajową jest innym problemem, stojącym niejako poza granicami naszych rozważań. Próbowaliśmy bowiem zastanowić się nad utrzymaniem naszego importu w granicach stałych przy postępującym przekształcaniu jego wewnętrznej struktury oraz nad *jednoczesnym* zapewnieniem sobie niezmniejszonych możliwości eksportowych.

# U W A G I

## PACHCIARZE INTERWENCJONIZMU

W polityce gospodarczej największym autorytetem są stany faktyczne i realna możliwość ich zmian na inne stany faktyczne. W polityce gospodarczej drogi działania nie powinny i nie mogą być brukowane tylko tzw. przesłankami ideologicznemi; byłyby to bowiem drogi doktrynerskie, o bardzo nietrwałej nawierzchni, powiedzmy coś w rodzaju naszych polskich dróg kołowych. Drogi polityki gospodarczej muszą być tworzone z materiału o wysokiej wytrzymałości, z realnego materiału faktów. Stąd wniosek: że dziś w *faktycznej* polityce gospodarczej w Polsce trzeba traktować *instrument interwencjonizmu jako fakt, którego żadna mniej czy więcej krytyczna dyskusja z praktyki życiowej nie wykluczy.* Możemy analizować interwencjonizm jedynie — przyjmując istnienie jego jako konieczność — od strony jego zakresu, jego zasięgu i, nie w ostatnim rzędzie, jego celu. Aby dyskusja na temat interwencjonizmu w polskim życiu gospodarczym mogła oderwać się od poziomu stolika kawiarnianego i od, wciąż z nieznudzonym uporem cytowanych za elementarzami ekonomicznymi z ubiegłego stulecia, pojęć i poglądów — trzeba wraz z dyskutentami zawędrować do konkretnego warsztatu przemysłowego, do sklepiku z produktem, do bocznej ulicy najlepiej w małym miasteczku i, oparłszy się o źle naoliwioną (wysoki koszt dystrybucji smarów) staromodną obrabiarkę (znamienny brak wytwórni maszyn przetwórczych), czy obitą zardzewiałymi skrawkami blachy ladę sklepową (wewnętrzna cena cynku uniemożliwia popularyzację jego użycia w miejsce żelaza) popatrzeć, podumać i zdecydować się. Zdecydować się na to czy istniejący niezaprzeczenie w polskim ustroju gospodarczym wielostronny interwencjonizm, to jakaś fatalna omyłka losu, którą należy corychlej usunąć, — czy też instytucja, która miałaby coś określonego do zrobienia, ale która powstała z połączenia ludzi, działów i wydziałów, rozmawiających między sobą zgoła różnymi językami, wyrywających sobie wzajemnie akty do załatwienia, mistyfikujących się wzajemnie i wciąż nieustannie dyskutujących... na temat interwencjonizmu.

Pewien snobizm naszego myślenia gospodarczego nakazuje naszym ekonomistom, naszym publicystom, mężom stanu i zawodowym interwencjonistom wciąż wypierać się i wstydzić się... interwencjonizmu. Ależ przecież o to zupełnie nie chodzi. Interwencjonizm w naszym życiu gospodarczym jest stanem faktycznym! Można tylko mówić o zmianie techniki wykonywania i zmianie kierunku, do którego zmierza interwencjonizm, a więc można tylko mówić o usprawnieniu interwencjonizmu. Bo jak już poprzednio wspomnieliśmy dyskutować poważnie o interwencjoniźmie można tylko przypatrzywszy się z bliska na żywym przykładzie temu, co się dziś odbywa w którymkolwiek z działów naszego życia gospodarczego w wyniku działania interwencjonizmu. I powiedzmy z góry, zanim do takiego bliższego przypatrzenia się przystąpimy: w naszym życiu gospodarczym dokonywa się nieprzerwany, niezrozumiały, w przebiegu dramatyczny a w skutkach tragiczny *sabat interwencjonizmu.* Ale interwencjonizmu *wziętego w pacht* przez różnych okolicznościowych, najczęściej na użytek własny i w kręgu własnych interesów funkcjonujących ośrodków interwencjonizmu. Zupełnie na podobieństwo owych średniowiecznych systemów pachtowania uprawnień fiskalnych. Nasi pachciarze interwencjonizmu, — co najznamienniejsze — to równocześnie najbezwzględniejsi krytycy systemu, którego są beneficjantami.

Był do niedawna w Polsce, według maksymalnych zasad interwencjonizmu gospodarczego — tego pachciarskiego — rządzony przemysł. Jeden z najpotężniejszych, najbardziej masowych, najistotniejszych z punktu widzenia i gospodarki bieżącej i ewentualnych potrzeb mobilizacyjnych, przemysł przetwórczy, to znaczy: fabryki drutów i gwoździ. Przemysł ten ujęty w karby organizacji kartelowej, której podporą była najpotężniejsza natenczas i potąd organizacja surowcowa w Polsce, bo kartel hut — doprowadził, posługując się atutami interwencjonizmu, do zaniku zdolności produkcyjnej własnej, do niesamowitej podwyżki cen wewnętrznych, do handlowania możliwościami eksportu w miejsce sprzedaży produktów na eksport, do najfatalniejszego, jaki tylko można sobie wyobrazić, rozlokowania się geograficznego fabryk, na całość tego przemysłu się składających. że interwencjonizm wykonywany przez ośrodek kartelowy w opisywanym przemyśle doprowadził do takiego skarykaturowania sytuacji ekonomicznej tego przemysłu, jest właściwie rzeczą łatwo zrozumiałą. Interwencję w łonie swego przemysłu wzięli w pacht zainteresowani przemysłowcy. Pierwszą więc przesłanką polityki gospodarczej, której instrumentem pomocniczym była pełna siła rządzenia tj. interweniowania na terenie danego działu przemysłowego, było: wypremiowanie maksymalne tego geograficznego i techniczno-produkcyjnego *układu* sił w przemyśle druciarsko - gwoździarskim, *który istniał w momencie montowania kartelu,* a więc ośrodka i celu interwencji. Można więc słusznie powiedzieć: interwencjonizm gospodarczy w tym wypadku, jak zresztą i w wielu innych, służyć miał nie jakimkolwiek zmianom na lepsze, lecz wręcz przeciwnie, *służyć miał przeciwdziałaniu każdej próbie zmian w istniejącym w momencie zainstalowania tego interwencjonizmu układzie sił przemysłowych.* Możnaby taki interwencjonizm nazwać *interwencjonizmem stabilizacyjnym.* Zadaniem jego bowiem w pierwszym rzędzie jest stabilizowanie tych wszystkich warunków gospodarczych, które w gałęzi przemysłowej, objętej zakresem jego działania — panują. Jest to więc, wnioskując dalej nieco, *interwencjonizm, którego określonym celem jest hamowanie rozwoju dotyczącej gałęzi przemysłowej.* I tak było istotnie w przemyśle druciarsko-gwoździarskim. Ponieważ interwencjonizm kartelu ustabilizował procentowe udziały produkcji dla poszczególnych uczestników kartelu według okresów referencyjnych, wziętych z przeszłości, — nie opłaciło się i nie mogło się opłacić nikomu z pośród uczestników kartelu inwestowanie nowych urządzeń przemysłowych, skoro wyraźnie było

powiedziane, że posiadanie większej ilości czy też sprawniejszych urządzeń i maszyn, nie uprawnia do większych udziałów w produkcji. Ale interwencjonizm kartelu był nie tylko, jak wyżej go określiliśmy, interwencjonizmem stabilizacyjnym. *Miał on bowiem także i zupełnie wyraźne choć specyficzne funkcje dynamiczne. Szły one mianowicie w kierunku przeciwstawienia się powstaniu nowych warsztatów produkcyjnych poza obrębem działania umowy kartelowej.* Tam gdzie chodziło o outsiderów. Do tego celu służyła interwencjonistom przemysłu druciano-gwoździarskiego umowa zawarta z kartelem hut, na mocy której kartel hut odmawiał dostawy surowca-walcówki fabrykom drutów i gwoździ, nie należącym do kartelu gwoździ. Tym sposobem interwencjonizm omawianej organizacji przemysłu przetwórczego, był interwencjonizmem stabilizacyjnym, jeśli idzie o jego działalność w łonie objętych umową kartelową fabryk, był zaś interwencjonizmem niszczącym, więc dynamicznym, jeśli idzie o jego działalność w łonie fabryk istniejących, względnie mogących powstać poza obrębem kartelu.

Interwencjonizm w wykonaniu pachciarzy, działających na terenie opisywanej tu gałęzi przemysłu przetwórczego dawał, jak wynika z tego co powyżej napisano, jako rezultat: powstrzymanie rozwoju techniczno-produkcyjnego w całej gałęzi produkcji i powstrzymanie ewentualnych geograficznych przesunięć w samym ulokowaniu się fabryk. Interwencjonizm ten umiał nie tylko hamować, ale i premiować. Umiał premiować zło. Interwencjonizm ten bowiem ułatwiając podnoszenie rentowności swych uczestników zależnie od wielkości dokonywanych przez nich obrotów (opusty przy zakupnie surowca uzależnione od ilości), a w uniezależnieniu tych obrotów od podziału produkcji na rodzaje o wyższej i niższej przydatności i w uniezależnieniu ich od współuczestnictwa w tych obrotach kwot eksportu — dawał premie takiemu producentowi, który wyrabiał najprymitywniejszy towar i najmniej z niego eksportował. O ile bowiem interwencjonizm gospodarczy jakiejś gałęzi przemysłowej stwarza warunki dla rentowności tej gałęzi uzależnione od takich współczynników, w których nie gra roli ani podnoszenie gatunku produkcji, ani zdobywanie nowych wewnętrznych czy zagranicznych rynków zbytu — w takim razie należy rezultaty działania takiego interwencjonizmu nazwać premiowaniem zła w produkcji. Rzecz oczywista, że wtórował takiemu premiowaniu zła, takiemu interwencjonizmowi gospodarczemu, który nastawiony był na kierowanie działania przemysłowego na jakieś stałe *à rebours*, interwencjonizm publiczny, który przyznawał premie eksportowe zależnie od tonażu towaru a nie od jego wartości. Było to znów bierne podporządkowywanie instytucji wykonywanej pod autorytetem władz państwowych, interesom i nastawieniom pachciarzy interwencjonistycznych.

Ale czy opisywany tu, w skrótach telegraficznych, przebieg i wyniki funkcjonowania interwencjonizmu w jednym z wielkich działów naszego przemysłu przetwórczego musiały w każdej konstelacji i w każdym wypadku zespolenia ośrodków decyzji w jednym miejscu interwencyjnym, tak samo wyglądać? Można z całym przekonaniem odpowiedzieć, że nie. Można wyobrazić sobie tak ujętą organizację gałęzi przemysłowej, która biorąc pod uwagę potrzebę — nie wchodzimy na tym miejscu w przyczyny — scentralizowania decyzji ekonomicznych w danej gałęzi przemysłowej, umiałaby uzależnić rentowność od rozwoju urządzeń produkcyjnych, od ich rozlokowania w punktach geograficznych najbardziej dla struktury kraju i potrzeb mobilizacyjnych wskazanych, która by uzależniała tę rentowność od wielkości udziału poszczególnych fabryk w eksporcie. Można więc sobie wyobrazić instytucję interwencjonizmu używaną nie dla tworzenia renty z hamowania produkcji czy z jej zaprzestania, lecz dla popędzania i nagradzania inicjatywy i przedsiębiorczości. Można więc sobie wyobrazić interwencjonizm nie wzięty w pacht przez reprezentantów pewnego stanu posiadania, których jedynym celem jest obcinanie jaknajwiększych kuponów od kiedyś nabytych czy oddziedziczonych akcyj, lecz jako instrument polityki gospodarczej, którego celem jest w danych warunkach faktycznych wygospodarowanie jak najlepszych efektów, ale efektów ocenianych z jak najszerszego, bo społecznego i państwowego punktu widzenia.

## KARAWANA

Zdolny, inteligentny i obrotny dziennikarz niemiecki, Zischka, napisał niedawno książkę, która zdążyła już narobić tyle wrzawy, co przed paroma laty „rewelacje" jego kolegi po piórze, Knickerbockera. Mam tu na myśli „Nauka łamie monopole".

Zischka, którego nazwisko wskazywałoby (może niesłusznie), że jest on niemcem bardzo świeżej daty, dał w swej pracy wyraz entuzjazmu dla nauki w ogóle, a dla niemieckiej w szczególności. W entuzjazmie dla tego właśnie szczegółu posunął się tak daleko, że wzbudził podejrzenie co do obiektywizmu, jaki powinien przyświecać książce, poruszającej pewne problemy pod kątem przede wszystkiem naukowym. Zischka obiektywny nie jest, gdyż przemilczenie nazwisk chociażby prof. Wróblewskiego lub prof. Mościckiego trudno kłaść na karb nieuctwa, skoro autor przytacza bogatą literaturę przedmiotu.

Chemia niemiecka stoi niewątpliwie b. wysoko i Zischka mógłby oddać jej należny hołd, nikogo nie pomniejszając. że tak nie postąpił, to jeszcze i z tej prostej przyczyny, iż miał na celu obronić swój kraj przed zarzutami militarystycznymi. Niemcy — dowodzi autor — rozbudowują przemysł chemiczny, bo miłują pokój i brzydzą się rozlewem krwi, a nie dlatego, że chcą być silniejsze gospodarczo i militarnie. Monopole naturalne prowokują wojny, natomiast nauka niemiecka pracuje dla pokoju.

Zischke niepotrzebnie zabrnął w gąszcz polityczny i zaplątał się w naciągane argumenty. Mógł sprawę postawić jasno i po męsku: Niemcy są krajem, który czy to w wojnie obronnej, czy to w wojnie zaczepnej musi mieć zapewnione surowce. Obojętne jest, czy Rzesza będzie walczyła o kolonie, czy o Ukrainę; bez względu na cel polityczny, środek — a tym jest dostawa surowców — musi stać na wysokości zadania. I dlatego nauka niemiecka nie ma powodu się wsty-

dzić, że pracuje dla potrzeb wojny. Jeżeli w innych krajach nauka o potrzebach wojennych nie myśli, to albo uczeni ci żyją poza życiem, albo — co innego mówią, a co innego robią.

Przeciągnięta struna Zischki wywołała wielkie gaudium po stronie zwolenników liberalnego „podziału pracy" i t. zw: wolnego handlu. Korzystając z niezręcznej i politycznej argumentacji autora, zwolennicy przedwojennego układu sił zmyli głowę samemu systemowi autarkicznemu, systemowi, który w książce Zischki został przedstawiony w sposób naprawdę poważny i zachęcający.

Autarkia — zdaniem swych adwersarzy obniża stopę życiową ludności, bo produkcja rozmaitych sztucznych tworzyw kalkuluje się drożej od surowców importowanych. Zischka nie zaprzecza, że namiastki są droższe, ale podkreśla, że jest to zjawisko naturalne: dopiero przejście od produkcji laboratoryjnej do produkcji masowo-fabrycznej daje potanienie kosztów i cen. W miarę rozwoju i udoskonalenia techniki koszty produkcji spadają — i tutaj surowce namiastkowe niczem się nie różnią od innych towarów.

Tak — dowodzą przeciwnicy autarkii — ale autarkia naraża cały świat na wstrząsy i jest podyktowana hasłami pozagospodarczymi. Trudno dyskutować na temat: kto zaczął? Trzeba więc stwierdzić jedno: Europa nie gra już dzisiaj w świecie tej roli. jaką grała przed wojną. Stary, kontynent, który trząsł wschodem i zachodem, teraz sam się trzęsie ze strachu na myśl, że kolorowi odmówią posłuszeństwa, a biali bracia z Ameryki zajęci będą swojemi sprawami. Słusznie więc mądra staruszka nie bawi się w miraże i wspomnienia z minionej przeszłości, lecz energicznie bierze się do roboty i przywołując do pomocy swą znakomitą wiedzę, buduje zręby samowystarczalności. Gdyby świat składał się jedynie z Ligi Narodów i... przedstawicieli handlowych, autarkia istotnie nie miałaby sensu. Niestety, jest inaczej i dlatego mądrze czyni ten, kto dmucha na zimne.

O jednem również zapomnieć nie należy. Rozwój gospodarczy zawdzięcza masę rozwojowi wiedzy. Obojętne jest, czy uczeni niemieccy chcą zgubić armię i ludność krajów, walczących dziś lub jutro z Rzeszą; nie jest natomiast obojętne, że ten ich szowinizm, imperializm czy nacjonalizm każe im łamać sobie głowy nad wynalazkami i odkryciami, które — wbrew może zamiarom tychże uczonych — stanowią fundament postępu. Wojny można było toczyć i bez dynamitu, ale wykopać kanał Panamski lub zbudować zaporę w Rożnowie tylko przy pomocy łopaty lub żerdzi byłoby i trudne, i mozolne, i — kosztowne.

Wreszcie moment ostatni, ale nie pośledni. Któż to najgoręcej zwalcza autarkię, jak nie bankierzy i pośrednicy handlowi. Ci, co tracą z powodu autarkii, skłonni są w niej widzieć Sodomę i Gomorę. Stąd ten obiektywizm, z jakim zwalczają „zgubne pomysły" autarkiczne, jest podejrzany jako podszyty subiektywnymi interesami osobistymi. A że te interesy muszą być podporządkowane dobru producentów, że idea monopolu kartelowego nie może być tolerowana, że zasada rentowności społecznej ma conajmniej tyle racji, co zasada rentowności prywatnej — więc nic dziwnego, że finansiści i agenci podróżujący robią taką kwaśną minę.

Ale to już zwyczajna kolej rzeczy. Fenek [1]) szczeka — karawana idzie dalej.

*k. b.*

## DYSKUSJA O PŁACACH

Poruszone w poprzednich numerach Gospodarki zagadnienie polityki płac pracowników najemnych w Polsce w okresie poprawy koniunkturalnej nasuwa szereg refleksyj nietylko bezpośrednio związanych z powyższym tematem, ale i związanych pośrednio. Wydawać się bowiem może, że pożyteczna ta dyskusja odbywa się zbyt późno i co za tem idzie — nie może pociągnąć za sobą wszystkich dodatnich skutków w postaci wyjaśnienia już zajętych stanowisk. Poza tem możnaby wyrazić pewien żal pod adresem rodzimej nauki, że nie zajęła się o ile nam wiadomo w dostatecznej mierze problematyką, która nie tylko jest interesująca w konkretnych, polskich warunkach, ale niewątpliwie musiała już być niejednokrotnie rozstrząsana w tych krajach, w których zagadnienie koniunktury ilościowej nie jest zagadnieniem tak stosunkowo nowym. Sądzić można, że nawet pogłębiona dyskusja publicystyczna nie może wyczerpać tematu ściśle związanego z samą teorią koniunktury z chwilą, gdy opuszcza teren społeczny czy polityczny i obraca się wyłącznie w ramach rozważań czysto gospodarczych. Taki właśnie charakter miał w omawianej dyskusji artykuł wyjściowy p. J. Poleszuka [2]), oraz dwugłos pp. M. Rawicza i S. Ozimy [3]).

Wysunięte przez p. M. Rawicza zastrzeżenia w stosunku do tez pierwszego artykułu wydają się zarówno w swych punktach wyjściowych, jak i w uwagach końcowych dostatecznie jasne i umotywowane; nie mógłbym natomiast bez żadnych wątpliwości zgodzić się na sam tok rozumowania Autora, gdyż tam gdzie chodzi o konkretne wnioski dla polityki gospodarczej, najbardziej słuszne rozumowanie nie wystarcza, gdy w toku tego rozumowania stosować wypada — w braku dostatecznie objektywnych przesłanek — uogólnienia z cichym dopuszczeniem wyjątków od reguły; ta metoda staje się szczególnie niebezpieczna wówczas, gdy nie jesteśmy w stanie określić ilościowego stosunku tych wyjątków, które wahać się mogą w szerokich granicach np. od 1 do 50%. Sądzę, że taki właśnie wypadek tu zachodzi i postaram się go wykazać na dwóch przykładach.

Motyw niedostatecznego wzrostu siły nabywczej warstwy pracowników najemnych przy utrzymanym poziomie płac stanowi niewątpliwie poważną przeszkodę w rozwoju koniunktury ilościowej, o ile jednocześnie nie będą stosowane proponowane przez Autora środki. Wydaje się jednak, że odpowiedź na pytanie, czy ta siła nabywcza będzie przy

[1]) Fenek — lis pustyni.

[2]) Gosp. Nar. Nr. 1, 1938.

[3]) Gosp. Nar. Nr. 4, 1938 r.

niepodwyższonych płacach wzrastać niedostatecznie, jest dość skomplikowana.

Jeśli chodzi o robotników już zatrudnionych, to niewątpliwie ocena stopnia wzrostu ich płac realnych na skutek polepszenia się sytuacji rodziny poprzez zatrudnienie bezrobotnych jej członków może być niezmiernie elastyczna. W każdym jednak razie czynnik ten w naszych warunkach (t. j. przy wysokim stosunku pracowników bezrobotnych do zatrudnionych) musi odgrywać dość znaczną rolę, większą niż mu wyznacza Autor w swym wywodzie.

Charakter wegetatywny konsumcji pracowników nowozatrudnionych również wydaje się trudny do zakwestionowania, jednak nie przesądza on wzrostu popytu na artykuły przemysłowe pierwszej potrzeby jak np. tania odzież. To też wydawać się może, że aczkolwiek utrzymanie płac na dotychczasowym poziomie nie daje takich efektów na rynku przemysłowych dóbr konsumcyjnych, jakie miałyby miejsce przy wzrastających płacach, to jednak wzrost ten będzie wystarczający aby skierować wolne sumy zakumulowane do inwestycyj produkcyjnych w przewidywaniu wzmożonej konsumcji dóbr spożycia.

Podobne zastrzeżenia możnaby zgłosić a fortiori do poruszanej przez Autora analizy reakcji rynku wiejskiego w stosunku do artykułów przemysłowych. Uważam za rzecz poza dyskusją, że popyt wsi na artykuły przemysłowe o charakterze konsumcyjnym wystąpi tu z pewnym opóźnieniem. Podobnie jednak jak w wypadku pierwszym, decydującym czynnikiem dla przedsiębiorcy w jego polityce inwestycyjnej nie jest *obecna* wielkość popytu na dobra przez niego wytwarzane, ale popyt *przewidywany* w najbliższej przyszłości. Znaczy to że opóźnienie wzrostu popytu na te dobra nie odgrywa w rzeczywistości tak wielkiej roli, i że już na początku okresu poprawy przedsiębiorca będzie się starał dostosować możliwości produkcyjne swego warsztatu do przewidywanego wzrostu produkcji; w praktyce cznacza to ożywienie w przemyśle dóbr wytwórczych już na początku okresu poprawy, niezależnie od prowadzonej w węższym lub szerszym zakresie akcji publicznych inwestycyj podstawowych. W tym samym zresztą kierunku oddziaływać będzie zwiększony już przy pierwszych objawach poprawy popyt wsi na dobra produkcyjne. Właśnie doświadczenia lat ostatnich wydają się wskazywać na dość silną reakcję rynku wiejskiego w stosunku do tego rodzaju artykułów przemysłowych; popyt ten występuje już w pierwszym okresie poprawy w rolnictwie i ma pierwszeństwo przed zwiększonym spożyciem artykułów konsumcyjnych.

Stwierdzenie tego zjawiska wydaje mi się szczególnie ważne w stosunku do dalszych wniosków Autora, dotyczących samego początku okresu poprawy. Sądzić bowiem można, że wzrost produkcji przemysłowej będzie stymulowany nietylko przez czynniki zewnętrzne (inwestycje o charakterze publicznym), a od strony rynku miejskiego — nietylko w sposób pośredni.

Wyrażone tu zastrzeżenia nie prowadzą nas do rewelacyjnych wniosków. Zwykły, normalny bowiem przebieg okresu poprawy koniunkturalnej wyraża się początkowo we wzroście produkcji dóbr wytwórczych, w drugiej zaś fazie występuje dopiero wzrost produkcji dóbr konsumcyjnych. Wydaje mi się przeto, że tok wywodów p. M. Rawicza, zmierzający w znacznej swojej części do wykazania słabego wzrostu popytu na te dobra w pierwszym okresie poprawy o charakterze ilościowym, nie prowadzi jeszcze do tak zdecydowanych wniosków, jakie dają się logicznie wysnuć przy zbyt wąskim uwzględnianiu wyjątków od reguły, z krzywdą dla zróżniczkowanych przejawów życia.

*s. a.*

---

# NOTATKI

## ST. BRZOZOWSKI I JA O MELCHIORZE WAŃKOWICZU

Tytuł jest wybitnie megalomański. Przyznaję to z całą otwartością. Muszę jednak postąpić w ten sposób dla zademonstrowania, że mam równie dobre prawo do megalomanii jak poniektórzy inni publicyści, którzy to czynią w treści swoich wywodów, polemizując ze mną. Równie dobre — to znaczy, że żadne.

A teraz ad rem. Chodzi mi o książkę M. Wańkowicza „C. O. P. — Ognisko siły". Książka ta wywołała duży rezonans o charakterze literackim i zgoła nieliterackim. Mnie w danym wypadku chodzi o krytykę tej książki, przez ekonomistów i nieekonomistów, o krytykę, przynajmniej w intencjach swych, pod kątem widzenia ekonomicznym.

Jeśli mowa o ocenie utworów literatury i sztuki w ogóle z punktu widzenia ekonomicznego, to oczywiście chodzi o wpływ tych utworów na kształtowanie się i przebieg procesów i zjawisk gospodarczych. Wpływ ten może być oczywiście tylko pośredni — tworzyć atmosferę sprzyjającą lub niesprzyjającą. W danym wypadku należy więc ocenić, jak wspomniana książka M. Wańkowicza wpływa na atmosferę psychiczną społeczeństwa polskiego i jego postawę w stosunku do działalności społeczno-gospodarczej.

Zacznijmy od kwestii stylu i piękna słowa. Jeden z krytyków napisał, porównując styl Wańkowicza ze stylem Żeromskiego: „oto jak Polska dzisiejsza mówić przestaje". Twierdzenie równie apodyktyczne jak i bezpodstawne. Skoro od śmierci Żeromskiego nikt tak nie przemawiał, nikt nie próbował w tak suggestywnej artystycznej formie notować wizji przyszłości gospodarczej Polski, a po dłuższej *przerwie* zrobił to Wańkowicz, to zgodnie z logiką można jedynie powiedzieć „oto jak Nowa Polska mówić zaczyna".

Inni zwrócili uwagę na różne nieścisłości w przytaczanych przez autora cyfrach i zupełnie logicznie wywiedli, że nieścisłe to jest to samo co nieprawdziwe. Słowem blaga. Zapytajmy w tym miejscu, jak Piłat „a co to jest prawda" lecz nie umywajmy rąk. „Prawdziwą jest każda myśl, która umożliwia działanie". Wańkowicz nie napisał książki naukowej. Dał wyraz w formie artystycznej wrażeniom i przeżyciom, jakie mu dało oglądanie rezultatów działania ludzkiego, dzieła polskiej pracy. Napisał książkę, w której wyraża uznanie i entuzjazm dla tego dzieła. Oddziaływa przeto dodatnio na samopoczucie psychiczne tych, którzy w C. O. P. pracują i stwarza korzystną dla ich pracy atmosferę poza nimi. Pomaga zatem działaniu. Jeśliby chciał przeszkodzić, zmrozić zapał, osłabić energię, spowodować zarzucenie i zmarnowanie włożonych środków i sił, to wtedy dopiero musiałby z całą rzetelnością zważyć każdy argument i każdą cyfrę, ażeby nie uczynić szkody bezcelowej i bezpotrzebnej. Ponieważ jego książka nie jest praktyczną dla kalkulacji finansowej i technicznej, to popełnione przez niego nieścisłości nikomu nie zaszkodzą. W sumieniu swoim może się czuć rozgrzeszonym za nie, tem bardziej, że już odpokutował za ten grzech powszedni.

A może całe dzieło C. O. P. jest błędem, jest oparte na złej kalkulacji? Któż na to odpowie z całym poczuciem pewności? „Utajnianie się życiowe, rozwój grup społecznych, społeczne następstwa i skutki idei, systematów ideologicznych — oto jedyny sprawdzian. Jeśli chodzi o kryterium prawdy, to możliwe jest tylko to jedno: prawdą jest ten zespół myśli, którym posługując się, zbiorowość ludzka zdołałaby zapanować nad pozaludzkim światem, raz na zawsze utrwalić nasz ludzki świat"... Cyfra fałszywa w systemie, który prowadzi do tego celu jest prawdziwą, cyfra prawdziwa w systemie przeciwnym jest fałszywa. Cel i kierunek tworzenia C. O. P.-u jest właściwy — ujaźmia świat pozaludzki, by służył ludziom. O wyniku zdecyduje przyszłość. Stosunek do teraźniejszości, to kwestia wiary. I dobrej wiary też. Bo przecież można z pełną świadomością zwalczać książkę Wańkowicza za to, że pomaga ona działaniu, które samo w sobie nie odpowiada gustom krytyka, ale czynić to w formie krytyki książki, nie odważając się zaatakować samego dzieła, któremu ona służy.

Wańkowicz, powiadają dalej, pomieszał wszystko w swej książce i cyfry statystyczne i kalkulacje finansowe, anegdoty o swym dziadku, obliczenia techniczne, wspomnienia z dzieciństwa i młodości, myśli o swej córce.

„Zrozumienie charakteru swojej działalności, swojego życia jako cząstki, jako pierwiastka całego życia danej społecznej grupy, zrozumienie swej społeczno-historycznej rzeczywistości jest jedyną drogą wiodącą do samopoznania". Wańkowicz oglądając C. O. P. zareagował w wielu płaszczyznach całą pełnią swego człowieczeństwa, całą gamą refleksów, do jakich były zdolne jego intelekt, uczucia i wyobraźnia. Powstał w jego myślach cały tumult skojażeń z historią kraju, własnego rodu i osobistym życiem. Ludzie o jednostronnie rozwiniętej psychice i zainteresowaniach powiadają, że to galimatjas, że to sprzeczności wewnętrzne, rozdwojenie osobowości itd. W jednym piśmie ekonomicznym powiedziano, że jest to dobra książka dla młodzieży, ale nie dla dorosłych. Też niesłusznie. Nie jest to książka, z której ekonomiści czy inżynierowie mają się uczyć o C. O. P., ale jest ona dobra i dla nich i dla innych dorosłych, czy jako potwierdzenie wartości ich pracy, czy jako afirmacja pracy i działania w ogóle.

Zbyt wiele tematów i refleksyj pobocznych? „Dokonać dzieła syntezy, stopić w jedno mamy trawioną przez niemoc lecz niezawodną wolę kultury z bezwiednym lub napół bezwiednym procesem ekonomiczno-społecznym, dokonywującym się w narodowej miazdze, uczynić z tych wszystkich drgnień woli polskiej jeden potężny organizm, roztoczyć potężny plan bohaterskiego i twórczego życia przed łamiącą się samotną myślą, oto są najistotniejsze zadania

myśli naszej i kultury". Zadaniu temu nigdy nie podołają sami ekonomiści, inżynierowie i kalkulatorzy. Artystyczna i syntetyczna wizja jest niezbędną przesłanką wszystkich wielkich zbiorowych działań. Wańkowicz podjął to zadanie.

Pretensja o to, że w reportarzu o C. O. P. autor ni stąd ni zowąd wspomina o swojej córce? „Gdy praca nasza staje się tak wartościowa, że chcemy, aby dla niej żyły nasze dzieci, jesteśmy świadomymi pracownikami, uczestnikami zbiorowej walki, nie zaś jej narzędziem". Cóż bardziej normalnego, gdy człowiek dojrzały, oglądając zręby tworzącej się nowej rzeczywistości pomyśli w tej chwili o swym dziecku, które w tej rzeczywistości żyć i kształtować się będzie. Trzeba być bardzo młodym człowiekiem, żeby „wydziwiać" z tego powodu. Dobre i pożyteczne dzieło dał kulturze polskiej Melchior Wańkowicz.

Oczywiście założeniem tu jest, że Centralny Okręg Przemysłowy jest dziełem wielkim i wymagającym siły Polskiego Narodu.

*z. sz.*

## „JAK SIĘ DA — TO SIĘ ZROBI"

W ostatnich dwuch numerach „Dróg Polski" znaleźliśmy niezmiernie ciekawą pracę dr. M. Chechlińskiego, omawiającą naszą politykę mieszkaniowo-budowlaną. Nie przypuszczamy, aby między poglądami dr. M. Chechlińskiego na podstawowe zagadnienia budownictwa mieszkaniowego — a poglądami czynników kierujących działalnością B. G. K. mogła zachodzić jakaś zasadnicza rozbieżność. Z tem większym zainteresowaniem badaliśmy rozważania autora.

Nie podzielamy jego bezwarunkowego uznania dla naszej polityki kredytowo-budowlanej — ale nie ta polityka nas w tej chwili interesuje. Chodzi nam o coś innego. Stwierdza autor, że:

„...obecnie, z chwilą podnoszenia się linii koniunkturalnej, znaczenie „strategiczne" ruchu budowlanego w walce z kryzysem zmniejsza się, można zatem i trzeba przystąpić do stopniowego zmniejszania wysokości kredytów na ogólne budownictwo, a wydatnego podwyższania kontyngentów na budowę domów i mieszkań — użyjemy szerszego wyrażenia „dla słabiej zarabiających". Tak ujęta definicja potrzeb wysuwa na plan pierwszy mieszkania jedno, półtora i dwuizbowe, jako mieszkania robotnicze".

Cieszy nas uznanie tego poglądu za słuszny. Uznanie to można by było uważać za zapowiedź podjęcia masowej, społecznej akcji budowlanej w wielkim stylu. Akcji opartej, rzecz oczywista, na analizie stosunków mieszkaniowych naszych miast, na szacunku zapotrzebowania na mieszkania społecznie niezbędne. Być może, że wyniki dochodzeń w tej dziedzinie, prowadzone i opublikowane przez TOR nie są ścisłe; jak długo jednak nie zostały zasadniczo zakwestionowane, tak długo nie ma, zdaniem naszym, innej podstawy dla planowania budownictwa społecznie niezbędnego. Oczekiwaliśmy zatem, że zarys planu polityki budowlanej oparty będzie na tych, mniej więcej znanych, elementach zagadnienia mieszkaniowego.

Nie wiemy, jak szybko i jak dalece trwale zwyżkozanie kwestii mieszkaniowej „uzależnione jest... nie od takiego czy innego pociągnięcia ustawodawcy, czy globalnie określonego kredytu, wypośrodkowanego według ilości potrzebnych izb, pomnożonej przez koszt jednego metra kubatury, lecz od ogólnego dobrobytu społeczeństwa i trwale zwyżkującego dochodu społecznego."

Nie wiemy, jak szybko i jak dalece trwale zwyżkować będą dochód i dobrobyt społeczny. Wiemy natomiast jak wielkie są potrzeby mieszkaniowe olbrzymiej większości ludności miast. Wydaje się nam, że kto uzależnia plan działania od kształtowania się wielkości niewiadomych, ten z tego planu rezygnuje.
Pragnęlibyśmy, by społecznie niezbędne inwestycje mieszkaniowe były zaliczone do rzędu tych, na które pieniądze muszą się znaleźć.

*b. ż.*

## CAMERA OBSCURA

Istnieje rodzaj literatury, która chociaż nie jest pornografią w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, jednak z uwagi na niebezpieczny jej wpływ na społeczeństwo powinna być tak samo tępiona, jak pornografia. Przenikanie na rynek takich książek przybiera bardzo rozmaite formy. Niekiedy podszywa się je pod miano naukowych. W takim wypadku stają się szczególnie niebezpieczne. Czasem też trafiają do rąk czytelnika pod hasłem popularyzowania wiedzy, orientowania obywateli w otaczających go zjawiskach. Przytoczę tu właśnie przykład literatury tego typu.

Będąc ostatnio w jednym z prowincjonalnych miasteczek zauważyłem w witrynie szumnie reklamowaną książkę. Tytuł jej brzmi: „Walka o prawo do pracy". Na str. 13-ej czytamy:

„Chłop polski wegetuje na poziomie średniowiecza, urzędnik państwowy jest parjasem, rzemieślnik zamiera, wolny inteligent siedzi w długach, obszarnik wyrywa sobie włosy z głowy na widok którejś tam dziesiątej wizyty sekwestratora, ludzi bogatych nie ma prawie wcale... Polski inteligent nie jest w możności kupienia potrzebnej mu książki albo biletu do teatru, żaden prawie Polak, nie może pozwolić sobie na dalekie podróże na własny koszt, żebractwo jest najbardziej frapującą sensacją dla cudzoziemca, ...prostytucja i fakty z nią związane kwitną jak chyba w żadnym kraju świata... największe zbiorowisko gruźlików, 30.000 wariatów, tyleż zamkniętych przestępców, kilka milionów analfabetów oto obraz... naszej rzeczywistości."

W innym miejscu autor tłumaczy abecadło ekonomii w ten sposób:

„Przyroda jest darem Boga i nie wchodzi przeto w zakres ekonomii politycznej, może — teologii". W innym miejscu czytamy: „Ekonomia polityczna po-

mimo swej nazwy nie zajmowała się nigdy serio gospodarczym prawem domowym..." itd. itd.

Gdyby „autor" powyższą książkę wydał własnym nakładem w ilości kilku egzemplarzy i następnie rozdał je wśród swoich dobrych znajomych, którzyby książki te powyrzucali ew. do kosza, byłoby wszystko w porządku. Jednakże w danym wypadku książkę wydało „Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki" w serii „Biblioteki Wiedzy Społecznej", a więc kolportuje się masowo stek bzdur, rozpowszechnia się niewiedzę.

Przeciętnemu obywatelowi po przeczytaniu takiej książki po zapoznaniu się z obrazem rzeczywistości polskiej, który jest w niej przedstawiony, nic innego nie pozostaje, jak położyć się do trumny i czekać na śmierć.

Fałszowanie rzeczywistości polskiej jest niedopuszczalne, zwłaszcza jeśli wchodzą w grę grafomania i megalomania. Powyższą publikacją nie zajmowałbym się. Idzie tu jednak o rzecz inną. Jak mogła się znaleźć ta książka na rynku? Co robią czynniki dbające o właściwy poziom lektury? We Francji wydano ostatnio zarządzenie, na mocy którego zakazano wyświetlać kryminalne filmy. W innych krajach również obserwujemy objawy rozumnej kontroli nad poziomem lektury. W Polsce niestety nie dojrzała jeszcze sprawa powołania instytucji, któraby koncentrowała w swym ręku zagadnienie racjonalnej propagandy i czuwała nad obroną społeczeństwa przed klęską swoistej popularyzacji zagadnień społeczno-gospodarczych.

*m. a.*



[1]) „Prasa Gospodarcza w Polsce" Marian Grzegorczyk (Prasa Nr. 12 z 1936 r. str. 16).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.